

Anarchizm epoki postpaństwowej

Luźne uwagi na marginesie małej książeczki

Remigiusz Okraska

„Tymczasowa Strefa Autonomiczna” Hakima Beya to książka w moim odczuciu ważna. Z dwóch powodów: po pierwsze – odnosi się do współczesnych realiów, po drugie – zmusza do myślenia o nich, postawienia sobie trudnych pytań. To wystarczy, by nad owym dziełkiem zatrzymać się dłużej, a jego wydawcom za trud edytorski podziękować.

Bey jako jeden z nielicznych potrafi zrzucić z oczu klapki wczorajszych realiów i problemów oraz zaproponować strategię oporu adekwatną do sytuacji; nie tylko dostrzega, iż żyjemy w świecie ponowoczesnym, ale i proponuje nam ponowoczesne strategie i taktyki. Bey jest „na czasie” – nie pisze, jak czyniło to wielu, mnie (*mea culpa*) nie wyłączając, o „świętej rodzinie”, wspólnotach naturalnych, państwie narodowym, proletariacie, masowych ruchach społecznych, tradycjach kulturowych, globalizacji, prawach człowieka, demokracji, Panu Bogu itp., itd. Bo i po co ma to robić, skoro to już było, a dzisiaj wszystko, mimo lamentów fanów przeróżnych *staroci*, wygląda inaczej (ani lepiej, ani gorzej – po prostu odmiennie). Na tyle inaczej, że nie warto sobie i innym zawracać głowy wspominkami, no chyba, że ktoś ma takie hobby.

Hakim Bey jest godnym następcą sytuacjonistów, zwłaszcza Guya Deborda, autora „Społeczeństwa Spektaklu”. Gdy w latach 60. cały świat podzielony był na zmagających się zwolenników kapitalizmu i komunizmu oraz stojących z boku miłośników narodowej autarkii, członkowie Międzynarodówki Sytuacjonistycznej demaskowali cały przemysłowy, czy to kapitalistyczny, czy komunistyczny, czy też „narodowy”, ztechnologizowany świat jako królestwo Spektaklu, najdoskonalszą formę panowania materii nad wolnym duchem, totalizm zasadzający się na „fetyszyzmie towarowym”, zamordyzm ekonomii. Gdy dzisiaj trwają jałowe przepychanki neoliberalistów z antyglobalistami lewicowymi i prawicowymi, myśl neosytuacjonistyczna znów jest krok do przodu. Do przodu nie tylko przed zwolennikami klasy robotniczej i narodu, ale także tymi, którzy nie chadzali nigdy ani w lewo, ani w prawo, lecz zawsze swobodnie.

Przede wszystkim Bey dostrzega, że główny wróg anarchistów – państwo, znajduje się w odwrocie. Owszem, jeszcze tu i ówdzie uprzykrza komuś życie, gdzieś tam posyła żandarmerów i poborców podatkowych, ale to już w zasadzie jego łabędzi śpiew. Państwo roztapia się w procesach ekonomicznych, jak nigdy przedtem chodzi na pasku wielkiego kapitału, który tym razem jednak zamiast je wzmacniać, czyni wprost przeciwnie – osłabia. Autor „TSA” dostrzega jednak także, iż nie tylko porządek instytucjonalny i jego agendy ulegają przemianom, zmienia się także wszystko inne: od form organizacji życia zbiorowego, przez wzorce kulturowe i etyczne, aż po codzienne zachowania w drobnych i nieważnych, zdawałoby się, sprawach. Będąc w głębszym sensie anarchistą nie zamierza więc zbyt wiele wysilać w walce z państwem, bo jaki sens ma kopanie leżącego? A gdy podnosi problem walki o wolność, to również czyni to odwołując się do zupełnie innych kategorii, wzorców i strategii niż mieli w zwyczaju jego poprzednicy spod znaku czarnej flagi. Jego postawa to anarchizm na miarę – jak nazwałem to kiedyś w tekście do „Mać Parjadki” – ery postpaństwowej. Wolność? Owszem, ale inaczej pojmowana, a przede wszystkim w odmienny sposób chroniona niż dotychczas.

Chaos – taki jest wyznacznik epoki ponowoczesnej. Zamiast wadliwego w wielu aspektach, lecz jednak stabilnego, uporządkowanego ładu modernizmu, z jego przewidywalny-

mi procesami, powolnym cyklem przemian i barierami ochronnymi neutralizującymi zbyt gwałtowne ingerencje w zastany *status quo*, mamy do czynienia z nieustannymi zmianami o coraz szerszym zasięgu i szybszym tempie, bez oglądania się na nic, bez zwracania sobie głowy żadnym „wczoraj”.

Imię chaosu jest wolność. Z świętej trójcy modernizmu: wolności, równości i braterstwa, nowoczesności udało się dać upust jedynie dwóm ostatnim członom, pierwszy nie tyle nawet zaniedbano, ile starano się wtłoczyć w zawsze wszak dla niego za ciasne ramy różnych recept i wizji, w efekcie otrzymując karykaturę, gdyż wolności nie da się zadekretować i wskazać palcem, jak ma wyglądać. To, co tłumi się i tłamsi, na ogół wybucha ze zdwojoną energią, zwłaszcza gdy tak się akurat złożyło, iż realia technologiczne pomogły się ludziom wyrwać ze starych ograniczeń (wtłaczając ich co prawda wielokroć w inne, nowe, ale odmiana też jest jakąś formą swobody, zwłaszcza gdy te nowatorskie formy uzależnień są mniej widoczne, słabiej odczuwalne, kapilarne, jak rzekłby Foucault).

Wolność tę można postrzegać różnorako. Ot choćby jako wielość niezbyt wymagających, lecz jakże przyjemnych wyborów konsumpcyjnych. Żeby to jednak było takie proste. Stan postmodernistycznej wolności to częstokroć faktycznie niewyszukany melanz przyziemnych rozrywek. Czy jednak łatwy dostęp do zróżnicowanej oferty dóbr i usług realnych i symbolicznych może być utożsamiany tylko z łatwością życia, z eskalacją przyjemnych, choćby i trywialnych, doznań? Wielu obserwatorów wskazuje na setkach przykładów z różnych dziedzin życia coś zupełnie odmiennego, mianowicie kłopotliwość i niewygody takiego stylu egzystencji, jego ciemne strony. Nie wdając się w szczegóły powiem tylko, że najdotkliwszą udręką mącą ów pozornie przyjemny żywot jest brak pewności, stabilizacji, zakorzenienia w jakichś niezmiennych strukturach, wydanie na pastwę małych bo małych, ale nader częstych życiowych burz. Pewność wygnana została z każdej, dosłownie każdej dziedziny żywota: od rynku pracy, przez system wartości i zbiorową tożsamość, po związki emocjonalne. Ów brak pewności, niemożność osiągnięcia jakiegokolwiek *constans* oprócz przekonania, że i tak wszystko może być wywrócone do góry nogami, spędzają sen z powiek wielu uczestnikom teatru codziennego życia.

Przed czym jednak należy dziś chronić wolność? Bey wytacza działa przeciw wszelkim „totalnym” strukturom hamującym pęd ku wolności: państwu i jego agendom, „wielkim” instytucjom religijnym, zastanym wzorcom kulturowym, a także systemowi ekonomicznemu – kapitalizmowi, rozumianemu tu jednakowoż nie tylko jako anglosaski wolny rynek, lecz całokształt opartych na pieniężnej wymianie rozwiązań gospodarczych epoki przemysłowej, sowieckiego komunizmu nie wyłączając. Zwłaszcza przeciw temu ostatniemu, gdyż uwiad państwa, jego „roztopienie” oraz podobny los będący nie od dziś udziałem tradycyjnych kościołów sprawiają, że to właśnie rynek jest najbardziej wyrazistym uosobieniem Molocha. Nie chodzi tu jednak o rynek rodem z pamfletów maminsyneków, wedle których burżua wyzyskuje proletariusza. Rynek, w rozwiniętej postaci przybierający postać Spektaklu doskonałego (w swej zdolności manipulowania ludźmi), ze swą logiką uprzedmiotowiania, utowarowiania stosunków międzyludzkich jest największym zabójcą życia, kreatywności, wyobraźni, samego człowieczeństwa, destruktozem wszystkiego, co piękne

i twórcze i dlatego, nie zaś w imię jakiegoś przewyciężenia „wyzysku” i „nierówności społecznych”, należy walczyć z kurewstwem ekonomii.

W imię czego wojować z rynkiem, kapitalizmem, Spektaklem? W imię, już wspomnieliśmy, wolności, potraktowanej tu jako absolutna niezależność i dowolność postaw, z odpowiedzialnością dobrowolną nie zaś narzuconą przez te czy inne etyki, konwenanse, zakazy i nakazy. Tej wolności, która w postmodernie dostała turbodoładowania (deklarowane chęci i odpowiadające im slogany ideologicznych uprawomocnień), nie znajdując jednak, tu Bey różni się od większości analityków przemian, ujścia w postaci realnych swobód, lecz jedynie odtwarzając pseudowolnościowe reguлки Spektaklu, chadzając na krótkiej smyczy, realizując się w wymiarze Haszkowym – *umiarkowanym w granicach prawa*, stanowionego dziś, to jedyna istotna zmiana, przez dysponentów sektora produkcyjnego, a przybierającego postać marketingowych mód, wzorców i traktowanych jak samorodne, lecz sprytnie podsuwanych potrzeb. Tej wolności, która podąża własnymi drogami, realizując się w materialnych zachciankach i duchowych poszukiwaniach, bez żadnej wyroczni, a raczej z wyrocznią o swoim imieniu *wolna wola*.

Wizja Beya jest egoistyczna – to prawda, ale na nic tu oburzenie i niesmak przeróżnych moralistów. Inaczej być nie może: kult ego, wybujały indywidualizm, „odwspółnotowanie” człowieka – to cechy charakterystyczne dla epoki ponowoczesnej i nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Tak, tu każdy się troszczy o tyłek własny (choćby w sensie zbiorowym – gdy dbamy o *własną* rodzinę czy koleżków płci obojga, to też jest to na ogół tylko egoizm), *własną* przestrzeń i o nic więcej. Ale przecież egoizm może być „współnototwórczy”, czasem nawet bardziej niż altruizm osobnika, który o wspólnocie i współpracy dużo *gada*, nie potrafiąc jednak *śłuchać* innych, wszystko *wiedząc* *lepiej* niż oni. Tyle tylko, że będzie to wspólnota szczególna, doraźna, tymczasowa właśnie, w ciągłym ruchu, pulsująca potencjalnym rozpadem. Egoizm nie musi też bynajmniej oznaczać ciągłych konfliktów i walk podjazdowych – równie dobrze w imię własnego interesu można współpracować z innymi, o celach podobnych, a podobieństwo przeżyć, odczuć i oczekiwań, jakie się w efekcie przejścia przez ten proces zrodzi może dać nową formę wspólnotowości, kto wie czy nie bardziej *mocną* i autentyczną (bo opartą nie na bajdurzeniach, pobożnych życzeniach i powtarzaniu ładnie brzmiących zaklęć – podobną do *życia się* frontowych *towarzyszy broni*).

Ktoś może powiedzieć, że wolność Beya to wolność dla wybranych, że *ktoś musi nie spać, żeby spać mógł ktoś*. Niekoniecznie. Tak można myśleć, gdy ma się przed oczami jakieś dawne realia technologiczne. Dzisiaj naprawdę żyjemy w *społeczeństwie obfitości* i *potlacz* na ogromną skalę jest potencjalnie możliwy. Można zapewnić dobrobyt materialny bez wyzysku innych – to, że dzieje się inaczej świadczy nie o ograniczoności zasobów, lecz o wadliwych regułach gry, o zawłaszczeniu monopolu na *święto* przez nielicznych, na których *bale* cała reszta musi tyrać w pocie czoła. Ale to akurat można zmienić. Ba, wbrew ekologicznemu czarnowidztwu nie musi na *permanentnym dobrobycie* ucierpieć znacząco także ekosystem – gdyby od zaraz zastosować istniejące nowatorskie wynalazki technologiczne (leżące odłogiem, bo ich wprowadzenie nie jest na rękę tym, którzy czerpią zyski z produkcji i stosowania starych) i zmienić reguły funkcjonowania rozwiązań szkodliwych (ot, choćby mechanizmu, który przymusza na różne sposoby do nabywania nowych modeli

dóbr wszelakich, nawet gdy wersje stare wciąż sprawnie działają), to w pełni możliwy byłby powszechny wysoki poziom konsumpcji dóbr materialnych przy znacznie mniejszym niż obecnie obciążeniu Ziemi. Nie mówiąc już o tym, że *radość* nie musi się w ogóle zasadzać na materialnych „rozkoszach” obecnego rodzaju – wiele potrzeb wykreowanych przez kapitalizm to potrzeby sztuczne, nie mające racji bytu bez ciągłego ładowania nam ich do głów przez wielkich i małych handlarzy. Zaiste, gdy oglądam „antykapitalistyczne” ruchawki polegające na rabowaniu sklepów lub czytam wezwania „rewolucjonistów” do kradzieży w supermarketach i „zjadania bogatych” (ech, żeby wam przypadkiem w gardle nie stanęli...), to myślę sobie, że ten System nigdy nie upadnie, skoro jego wrogowie potrafią jedynie odtwarzać wzorce kultury, z którą ponoć walczą.

Tytuł książki Beya brzmi „Tymczasowa Strefa Autonomiczna”. Paradoksalnie, autor nie pisze, czym jest TSA, zostawiając to naszej intuicji. I wiemy, czy raczej przeczuwamy, co miał na myśli, jakiego rodzaju *klimat* musi panować gdzieś, by można było o czasoprzestrzeni rzec, iż stanowi taką właśnie strefę. TSA mogą istnieć wszędzie i nigdzie zarazem, poza uczęszczanymi szlakami i spenetrowanymi przez współczesnych Talleyrandczyków miejscami. Mogą istnieć na odludziach (*zadupiach*, jak soczyście pisze Bey), gdzie nie sięga ręka żandarma lub gdzie rękę tę łatwo wyprowadzić w pole. W przepastnych przestrzeniach Internetu, na towarzyskich *imprezach*, podczas spędów wśród dzikiej przyrody. Nie ma już *terra incognita* w sensie tradycyjnej geografii, więc nie można tak po prostu spakować toboły i uciec. Trzeba sobie *własną* przestrzeń wywalczyć, wyszukać mysią dziurę w gęsto zabudowanym gmachu, włożyć nogę w każde niedomknięte drzwi. Bo *wolne krainy* potencjalnie istnieją, tylko od nas zależy, czy potrafimy je rozpoznać i zasiedlić. „*Nie istnieje ani jeden centymetr kwadratowy Ziemi, nie objęty jurysdykcją policji albo systemu podatkowego... w teorii*” – pisze ironicznie Bey. Bo Mapa, tak właśnie pisana, będąca graficznym wizerunkiem Systemu, nigdy nie jest domknięta, zawsze można wyszukać na niej obszary puste, zaniedbane przez urzędasów i komiwojażerów, niekoniecznie namacalne – przybierające postać terytorium, lecz także mentalne, wyrwane z opanowanej przez rządowe i reklamowe obwieszczenia przestrzeni imaginacyjnej.

Dlaczego jednak strefa autonomiczna ma być tymczasowa, dlaczego nie powalczyć, jak do tej pory chcieli herosi rewolucyj różnego autoramentu, o wolność raz na zawsze? Ano dlatego, pisze Hakim Bey, że rewolucje spod znaku „wolność dla wszystkich, wolność na zawsze” przegrywały, zamieniając się w swe przeciwieństwo, potęgując jeszcze ucisk i terror (pisaliśmy już dlaczego: wolności nie da się zadekretować, każdy, komu wydaje się, że wie, jak powinno wyglądać wolne społeczeństwo, to potencjalny tyran). Dlatego też, że „*z czołowego zderzenia ze śmiercionośnym Państwem, z megakorporacyjnym Państwem informacji, z Imperium Spektaklu i Symulacji najpewniej nie wyniknie absolutnie nic prócz jałowego męczeństwa. Wytoczą przeciwko nam wszystkie działa, a my cóż będziemy mogli wziąć na cel znacznie skromniejszych zasobów własnego arsenału? Tylko bezwładność odpornej pustki, Zmorę zdolną zadławić każdą iskrę w ektoplazmie informacji, kapitulancie społeczeństwo, rządzone wizerunkiem Gliniarza i chłonnym okiem ekranu telewizyjnego*”.

Tymczasowe Strefy Autonomiczne mają swych licznych, choć skrytych w opasłych tomach historii antenatów. Już widzę uśmieшки na wargach wszystkich ultrapoważnych an-

tysystemowców, gdy czytają sprokurowane przez Beya opisy pirackich wyspiarskich państweczek, górskie siedliska banitów, leśne osady *sekiarzy*, *freistadt* Fiume D'Annunzia, Monachijską Republikę Rad Landauera i temu podobne *dziwactwa*. Tak, one są *niepoważne*, bo nie przetrwały, nie został po nich ślad poza rozproszonymi wspomnieniami, ale były, dając uczestnikom *deko* wolności – kto jednak z poważnych antysystemowców może z czystym sumieniem rzec, że posiadał chociaż jej *gram*?

Ktoś powie – gdzie tu konkrety, zada leninowskie z ducha pytanie „co robić?”. Wszystko i nic zarazem, wedle pomysłu, chęci, inwencji, możliwości. Jak? Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Ot choćby pracując na czarno czy robiąc to co lubimy, a najlepiej wbrew tyranii ekonomii – wcale, a jeśli już pracować musimy, to niech żyje sabotaż, niech szczerą fabryczne truchła i zysk ich producentów. Po co nam urzędnicze papierki tylko dlatego, że z kimś mieszkamy, kochamy się, mamy dzieci? Po co nam *zaistnienie* w głównych mediach, skoro możemy mieć media własne? Po co nam szkoły z ich bełkotem i „programem nauczania”, skoro życie samo więcej nas nauczy (z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że poza papierkiem z napisem *mgr* studia niewiele mi dały, w każdym razie nic, czego nie mógłbym się nauczyć w inny sposób) i to tego, czego potrzebujemy my-ludzie, nie zaś my-uczestnicy rynku pracy (tfu!). Po co nam plebiscyty i wybory, w których nie sposób wybrać nic i nikogo naprawdę nam odpowiadającego, skoro możemy tworzyć z podobnymi sobie poziome sieci *współpracy* nie potrzebującej hierarchii, z ludźmi nam podobnymi i bliskimi naszemu sercu (bo o to właśnie idzie, a nie o wspólnotę celów – cóż mi po celu wspólnym, gdy towarzystwo do niego zdążające kiepskie?)? Można tak w nieskończoność, ale po co – każdy ma głowę na karku, a *wolność* to nie ciastko przyniesione na tacy, to nie Mesjasz, który załatwi coś za ciebie.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Remigiusz Okraska
Anarchizm epoki postpaństwowej
Luźne uwagi na marginesie małej książeczki

Powyższy tekst jest skróconą i zmienioną wersją recenzji, jaka ukazała się w piątym numerze kwartalnika „Obywatel” (www.obywatel.org.pl), którego autor jest redaktorem.

pl.anarchistlibraries.net